

## Jan Rokita: Żrenice demona [FELIETON]

Tym różnią się „decyzje polityczne” od tych, które podejmujemy w życiu prywatnym, że politycy – jeśli nie chcą być oszustami albo fanatykami – muszą umieć przewidywać zło, które wyniknie z ich decyzji, intencjonalnie służących wspólnemu dobru. Kryzys migracyjny odsłania szczególnie wyraziście taką właśnie naturę polityki – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Nieduża (jak dotąd) inwazja azjatyckich migrantów, jaką zafundował nam na wschodniej granicy miński tyran, dobrze zrobi polskiej politycznej samoświadomości. Ta inwazja jest niczym jakieś nagłe ćwiczenie z ostrości spojrzenia na realia świata, albo i nawet – jak zastrzyk dorosłości, wstrzyknięty w nasze zinfantylizowane pojmowanie polityki. Chyba nazbyt szybko przyzwyczailiśmy się do takiego stanu rzeczy, w którym przewalające się przez świat wielkie polityczne kryzysy, dotykające wprost egzystencji milionów ludzi, owszem, dzieją się realnie, ale przecież nie mogą na serio działać się u nas. Przewlekłą i okrutną wojnę – to mogą mieć nasi sąsiedzi Ukraińcy. Prawdziwe załamanie gospodarcze może się przydarzać Grekom. Zaś masy obcych kulturowo przybyszów z Azji i Afryki mogą płynąć morzem na Wyspy Egejskie, bądź na Lampedusę. *„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna...”*. A dzięki temu, my możemy bezkarnie dawać upust naszym wszystkim, nawet tym najbardziej mrocznym, politycznym namiętnościom w kieszonkowej wojence dwóch nienawidzących się frakcji sędziowskich, za którymi

kryją się dwie bijące się o władzę partie. I kibicując jednej, albo drugiej frakcji, z podnieceniem sprawdzać, jak to wpływa na aktualne słupki Hołowni, Kaczyńskiego, Kosiniaka, Tuska.

Teraz nagle okazuje się, że globalny kryzys migracyjny uderza wprost w nas. Co prawda, parę lat temu mówiło się w Polsce o możliwości wytyczenia w Europie „wschodniego szlaku migracyjnego”, rysowano nawet swego czasu takie mapy, na których masy ludzkie z Bliskiego wschodu przebijały się poprzez Ukrainę, ale prawdę mówiąc, nikt nie traktował tego całkiem serio. A teraz kryzys dotyka nas w postaci najbardziej spolityzowanej, gdyż coraz liczniejsze rzesze Azjatów nie idą do nas same przez się, ale podrzuca nam je na granicę miński tyran, rozjuszony polskim zaangażowaniem w białoruską rewoltę, która nieskutecznie próbowała go obalić. Czyni to oczywiście dla politycznej zemsty, która jest przecież świętym prawem polityki. I w ten sposób, ku własnemu zaskoczeniu odkrywamy, że polskie wsparcie dla rewolty przeciw tyranii w ościennym kraju, ma swój polityczny koszt. I że może nawet to być koszt dość wysoki, jeśli za niedługo okazało się, iż to nie tylko Wyspy Jońskie i Lampedusa, ale również Bug i Podlasie – są na mapie Europy newralgicznymi strefami wielkiego kryzysu humanitarnego. Odkrywamy zatem, że nasza „obrona praw człowieka” w ościennej tyranii, czyli te wszystkie polityczne oświadczenia, kampanie prasowe, pomocowe pieniądze, happeningi, koncerty i kolorowe koszulki z nadrukami – to akty wysokiego politycznego ryzyka, za które zapłacić można poważną szkodą własnego kraju. Dlatego, tak jak cała polityka, wymagają zawsze roztropnej i chłodnej kalkulacji. To jednak dopiero wstęp do właśnie odbieranej przez nas lekcji polityki.

*Kryzys dotyka nas w postaci  
najbardziej spolityzowanej,  
gdyż coraz liczniejsze rzesze  
migrantów nie idą do nas  
same przez się, ale podrzuca  
nam je na granicę miński  
tyran*

Dotąd ze sporym dystansem obserwowaliśmy, jak rządy kolejnych krajów kompletnie nie radzą sobie z inwazją mas nielegalnych imigrantów. W gruncie rzeczy,

jakkolwiek by bowiem owe rządy nie postępowały, to efekty zawsze były niedobre. Jeśli wyławiały z morza dziesiątki łódek napchanych ludźmi, dając im ratunek i sprowadzając na brzeg, to natychmiast „profesjonaliści” od takiego transportu dostarczali już nie dziesiątek, ale setek kolejnych łódek z ludźmi. A jeśli przestawały wyławiać łódki, albo i blokowały dla nich swoje porty – to morze pochłaniało kolejne setki ofiar, zaś politycy, którzy podejmowali takie decyzje dla ochrony kraju, ciągnani byli przed sądy, pod najcięższymi oskarżeniami o zbrodnie (tak jak szef włoskiego MSW Salvini). Bogu dzięki, że nasza wschodnia granica nie jest granicą morską, więc i skala ofiar jest nieporównywalna. Ale ofiary już są. I jest też taki sam gwałtowny podział ideologiczny opinii publicznej, której większość gotowa raczej postawić na prymat bezpieczeństwa, ale bardzo aktywna humanitarna mniejszość kategorycznie przeciw temu protestuje. Pamięamy dobrze, jak wyrzucone przez Morze Śródziemne zwłoki małego chłopca, których fotografię powielono w milionach egzemplarzy, przyczyniły rządowi europejskim dużo więcej politycznych kłopotów, niżli tysiące wcześniej topiących się ofiar. A teraz mamy swoje „dzieci z Michałowa”,

które (znów Bogu dzięki) ponoć mają się dobrze, ale nie schodzą z ust liderów opozycji, a jakaś wstrząśnięta uczuciowo posłanka wręcza ich obrazki samemu Ojcu Świętemu.

Rzecz w tym, że w zinfantylizowanej kulturze politycznej z wielkim trudem przebija się niegdyś oczywista prawda, iż polityki nie da się uwolnić od przypisanego jej z natury wymiaru tragicznego. Absolutną klasyką jest w tej mierze sławny (ale i piękny) monachijski wykład Maxa Webera z 1919 roku, próbujący uchwycić samą istotę polityki. Weber, skądinąd całkowity racjonalista w interpretacji świata, tu jednak gdy idzie o politykę, widzi nieuchronną obecność demona, z którym każdy, kto chce być odpowiedzialnym politykiem, musi podjąć grę. I podkreśla (jakże aktualnie!), iż tę świadomość mieli „*dawni chrześcijanie, którzy wiedzieli bardzo dokładnie, że świat jest rządzony przez demony, i że kto obcuje z polityką, to znaczy używa jako środków władzy i przemocy, ten zawiera pakt z mocami diabelskimi*”. Tym przecież różnią się „decyzje polityczne” od tych, które podejmujemy w życiu prywatnym, że politycy – jeśli nie chcą być oszustami albo fanatykami – muszą umieć przewidywać zło, które wyniknie z ich decyzji, intencjonalnie służących wspólnemu dobru. Kryzys migracyjny odsłania szczególnie wyraziście taką właśnie naturę polityki. Jeśli naszym celem jest bezpieczeństwo, to musimy płacić za to cenę ludzkiego cierpienia. A jeśli idzie nam tylko o nasz własny humanitaryzm, to ściągniemy niebezpieczeństwo na wspólnotę. Jako wspólnota otrzymujemy więc właśnie doskonałą lekcję dorosłego patrzenia polityce prosto w oczy, nawet jeśli na ich dnie widać majaczące źrenice demona.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

